

**Michał Bąkowski**

## **O meandrach mackiewiczologii**

Ukazało się jakiś czas temu, nakładem Wydawnictwa Arcana, nowe wydanie Ptasznika z Wilna, Włodzimierza Boleckiego, z podtytułem O Józefie Mackiewiczu (Zarys monograficzny). (1) Jest to dzieło ogromne: na przeszło 900 stronach, Bolecki zajmuje się biografią pisarza, potem historią napaści na Mackiewicza (eufemistycznie znaną jako „sprawa”), wreszcie omawia jego poglądy i jego pisarstwo.

Jest zrozumiałe, że tak wielki materiał był trudny do objęcia, jednak konstrukcja, na którą zdecydował się Bolecki, powoduje, że czytelnik dostaje zawrotu głowy od bezustannego kręcenia się w kółko. Bo przecież historia kilkudziesięcioletniej nagonki należy niewątpliwie do życiorysu Mackiewicza, a wszystkie napaści były funkcją jego poglądów, które z kolei zawarte są w jego dziełach. Co gorsza, na ów kolisty zamysł konstrukcyjny nałożyło się wiele lat pracy nad książką, pierwotna wersja Ptasznika była bowiem gotowa już w 1989 roku. Od tamtego czasu Bolecki najwyraźniej dodawał stale nowy materiał i nowe analizy, zapominając niestety o poradzie Horacego, że trzeba także skreślać. (Strach pomyśleć, do jakich rozmiarów dojdzie Ptasznik w trzecim wydaniu!) Mamy zatem do czynienia z karuzelą podstawowej konstrukcji, gdzie zamierzeniem Boleckiego było chyba powracać do tych samych wątków w różnych kontekstach i naświetlać je z różnych stron, co samo przez się nie budziłoby wątpliwości. Niestety wewnątrz każdego z tych kół kręcimy się bezustannie wokół innych osi, podyktowanych tym razem nowymi odkryciami mackiewiczologii. Czytelnik w rezultacie cierpi na zawrót głowy, a książka cierpi na rozsianie przy braku stwardnienia.

W pierwszej części, tej biograficznej, Bolecki zatrzymał się dłużej nad odnalezioną kilka lat temu książką Mackiewicza, pt. Prawda w oczy nie kole (2), napisaną w okupowanym Wilnie w 1942 roku. Słusznie uczynił, bo to bardzo ważna pozycja. Jego omówienie tego tomu jest w większości niekontrowersyjne, jednak trudno było mi zrozumieć, dlaczego dopatrywał się w Prawdzie „wykładu swoistej ‘metodologii’”, której fundamentem być miało „korygowanie tez w miarę narastania wiadomości i doświadczenia zaczerpniętego z rzeczywistości”. Bolecki twierdzi, że metoda pisarska Mackiewicza polegać ma na konfrontacji mikrosytuacji fabularnych z innymi zdarzeniami, co „pozwała pisarzowi na sformułowanie jego własnej opinii”.

„Literackość i osobisty charakter narracji Mackiewicza pokazują, jak pisarz dochodzi do wiedzy o świecie [podkr. moje], ale równocześnie zatrzymują tę wiedzę ‘w katedrze’ jego pamięci. Książka Mackiewicza nie jest więc wykładem żadnej doktryny czy ideologii – opowiada o osobistym doświadczeniu historii XX wieku w okresie

jednego z jej najgorszych paroksyzmów. I o próbie wyciągnięcia ogólnych wniosków z tego doświadczenia.”

Takie rozumowanie nazywa się „indukcyjnym”; jest ono sławetnie niedoskonałe, bo zawodne. Wyciąganie ogólnych wniosków z poszczególnych wypadków, jest tylko tak długo słuszne, aż nie napotka się na przypadek, który nie potwierdza pierwotnego wniosku (bo wbrew znanej zasadzie, wyjątek nie potwierdza reguły, tylko ją obala, zwłaszcza gdy jest to reguła indukcyjna). Indukcjonizm zatem, jako pogląd dopuszczający jedynie generalizację zdań opisujących pojedyncze obserwacje, jest z metodologicznego punktu widzenia bardzo słabiotki. „Korygowanie tez wraz z narastaniem wiedzy”, to z kolei po prostu opis działania zdrowego rozsądku. When the facts change I change my mind. What do you do, sir? – jak się wyraził John Maynard Keynes. Czy to jest aż metodologia?

No, dobrze, ale Bolecki ma chyba rację, utrzymując, iż dla Mackiewicza własne doświadczenie, obserwacja i bezpośredni kontakt z rzeczywistością, są zasadniczymi składnikami dochodzenia prawdy. A co za tym idzie, czyż nie jest to istotny rys tego pisarstwa? Mogłoby się tak zdawać, gdyby nie fakt, o którym Bolecki zdaje się zapominać, że miliony ludzi dzieliły doświadczenia Mackiewicza, ale z jakiegoś powodu nie podzielały jego wniosków. To co go wyróżnia, to nie jego szczególnie przeżycia ani jego literacka metoda, ale coś uprzedniego wobec wszystkich przeżyć jego trudnego życia. Zanim zobaczył groby katyńskie, zanim uciekł do puszczy nad Wisińczę przed deportacją do Kazachstanu, na długo przed upadkiem Polski, ale także przed reportażami w Słowie, a nawet przed konną-zbrojną walką z bolszewikami – miał Mackiewicz „moralną busolę” i trzymał się jej wskazań. Miał sumienie, a w nim „głos Boży”; miał zmysł moralny – jak inaczej jeszcze można to nazwać? Dzięki niemu, a nie dzięki „swemu szczególnemu trybowi dochodzenia do wiedzy o poszczególnych kwestiach”, pisał przez całe życie „requiem dla szczątków ludzkiej przyzwoitości” (jak się wyraziła Barbara Toporska we wstępie do wyboru Fakty, przyroda i ludzie). Bolecki ma rzecz jasna rację, że Mackiewicz musiał tych szczątków doświadczyć, musiał je zaobserwować – jak inaczej mógłby o nich pisać? – ale musiał mieć także uprzednią świadomość, że były szczątkami czegoś większego, że ludzka przyzwoitość sama nie jest kwestią doświadczenia ani obserwacji, ani indukcji, ani żadnych rzeczy, które pochodzą od Johna Stuarta Milla, ponieważ z tego co jest, nie sposób wyciągnąć wniosków na temat tego, co być powinno.

Najlepiej jak zwykle oddać głos samemu Mackiewiczowi. W tej samej książce, Prawda w oczy nie kole, nie bez pewnej ironii, pisze na temat moralnego rdzenia swego spojrzenia na świat:

„Nie podzielam zdania dr Goebbelsa z r. 1943, w którym wykrzykiwał: ‘Fanatyzm to nie wada. Fanatyzm to cnota.’ – Nie, raczej przypada mi do gustu zdanie Gladstone’a z r. 1879, który odbywając kampanię wyborczą przeciwko Disraeliemu, wołał: ‘Są w świecie inne rzeczy, niż konieczności polityczne; są konieczności moralne. Pamiętajcie o tym, że świętość życia w siołach Afganistanu, w śniegach zimy, jest równie nietykalna w oczach Stwórcy, jak życie w naszych miastach.’”

## „Sprawa”

Lwia część Ptasznika poświęcona jest tak zwanej „sprawie Mackiewicza”. Wyznać muszę, że zawsze byłem zdania, iż taka sprawa nie istnieje, ale po raz Bóg wie który, okazuje się, że mówienie o czymś nieistniejącym wydobywa to jakoś z niebytu, aczkolwiek status ontyczny takiego „czegoś” jest bardziej wirtualny niż cała blogosfera i Web 2.0 razem wzięte. Józef Mackiewicz utrzymywał zawsze, że nie ma w tej „sprawie” nic poza dobrze zorkiestrowaną nagonką, kampanią podyktowaną polityczną wrogością. Napisał kiedyś – w związku z Katyniem – że „zaprzeczenie stwarza jedynie sporność sprawy”. Zaprzeczać tym Nowakom i Korbońskim? W jakim celu? Niech sobie mówią, co chcą; żadne argumenty do nich i tak nie dotrą. Najlepiej oddaje jego stosunek do „sprawy”, fragment z Nie trzeba głośno mówić, w którym Andruszkiewicz ostrzega Henryka przed redakcją Niepodległości:

„– Ale jest więcej [takich], którzy wyobrażają sobie, że mają długie ręce. A kto wie, może i mają.

– Niech mnie pocałują w dupę.

– Oni potrafią nieraz i gołymi oszczerstwami niezgorzej likwidować.

– Niech mnie pocałują w dupę – Henryk poruszył się na krześle, jakby chciał im to ułatwić w tej chwili...”

A jednak gigantyczna detektywistyczna praca Boleckiego jest na swój sposób fascynująca. Bolecki z zapałem konfrontuje sprzeczne relacje, wysuwa hipotezy, wytyka sprzeczności, obala ustalone w tej sprawie poglądy i bez spoczynku szuka racjonalnego jądra w ciągu wydarzeń, które zdają się być pozbawione sensu; obraca argumenty oskarżycieli Mackiewicza na wszystkie strony i wydaje się otwarty na wszelkie możliwości, ale przyjmuje jednak pewne punkty jako niepodważalne. Powtarza np. kilkakrotnie: „że wyrok zapadł, wydaje się sprawą bezdyskusyjną”, albo „nie sposób wątpić w prawdziwość tych relacji” (na temat wyroku).

Wyznaję, że nigdy nie studiowałem szczegółów „sprawy”, nie dlatego że studiowanie czegoś, co nie istnieje, wydaje mi się działalnością artystowską – uwielbiam taką działalność – raczej z powodów estetycznych, ze względu na chamstwo tych wszystkich napaści, na język tych „krawców i trościanków”, jak mawiał o nich sam Mackiewicz, ze względu na kloaczny poziom tych ludzi. Otóż po przeczytaniu materiału nagromadzonego przez Boleckiego, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nic nie jest w tej sprawie bezdyskusyjne i we wszystko można wątpić.

Lektura Boleckiego nie zachwiała mego przekonania (raczej je wzmocniła), że żaden wyrok śmierci na Mackiewicza nigdy nie zapadł. Wiemy, jak działają tajne organizacje: nie zapisuje się tego, czego zapisywać nie trzeba, nie przechowuje się dokumentów, które mogą narazić na straszną śmierć. Ludzie związani z podziemną Niepodległością prawdopodobnie naciskali, żeby Mackiewicz postawiony został przed sądem, ale kiedy nie osiągnęli swego, to rzucili oskarżenie. Wilno było małym miastem (Miało przed wojną niespełna 200 tysięcy mieszkańców, ile mogło zostać w 1943 roku? Po wszystkich aresztach, wywózkach, uciezkach i masowych mordach – ile? Połowa?), a środowisko AK było zwartym kółkiem. Mamy więc z jednej strony strach przed okrutnym okupantem, a z drugiej wąską grupę, w której osobiste zaufanie było ważniejsze niż prawda, co jest wystarczająco podatnym gruntem dla rozpuszczania plotek. A plotka może być śmiertelną bronią. Sam Mackiewicz pisał o tym tak:

„Ważne jest oskarżenie samo. Powstaje wtedy fama, której niepodobna się przeciwstawić. W danym jak ten wypadku, wykańcza się kogoś, kogo się chce zlikwidować politycznie, skuteczniej niż kulą w łeb. Wymieniony bowiem z imienia i z nazwiska nie może żądać odwołania, sprostowania czy przeproszenia w prasie – podziemnej!... Bo za taki kontakt automatycznie trafiłby do Gestapo.”

Jest jasne, że AK miało w 1943 roku w Wilnie inne rzeczy na głowie, ale gdyby rzeczywiście oskarżono Mackiewicza o współpracę z Gońcem, to nawet w tych trudnych warunkach było w miarę łatwo sprawdzić, że nie było to prawdą. Mackiewicz miał poza tym bliskiego przyjaciela, w osobie Zygmunta Andruszkiewicza, na stanowisku szefa Wydziału Informacji wileńskiej AK, skąd rzekomo pochodziły „informacje” na temat jego kolaboracji. Bolecki znakomicie wykazuje, że jeśli wyrok zapadł, to powinien być ogłoszony i wykonany, bo nie było procedury jego „zawieszenia”. Trzej panowie z Gońca ukazali się w lutym 43, a w kwietniu-maju odbywają się długie negocjacje zakończone wyjazdem Mackiewicza do Katynia. Komendant wileńskiego AK musiałby być schizofrenikiem, żeby niemal jednocześnie zatwierdzić wyrok śmierci, skierować go do wykonania i zgodzić się na wyjazd skazanego do Katynia.

Stąd moje przekonanie, że wyrok jest wyłącznie famą, a najrozmaitsze relacje na jego temat łatwo dadzą się wytłumaczyć zasadami doraźnej polityki powojennej (choćby twierdzenie antykomunisty, Sergiusza Piaseckiego, że wykradł z biurka Andruszkiewicza odwołanie wyroku na antykomunistę, Mackiewicza; ale także relacja komunistycznego poputczika, Lorentza, że Korboński zatwierdził wyrok, gdy sam Korboński nic o tym nie mówi). Hipoteza, że żaden wyrok śmierci na Józefa Mackiewicza nigdy nie zapadł, jest tak samo prawdopodobna, jak wszystkie wysuwane przez Boleckiego, a w najgorszym razie, jest równie niesprzeczna z „materiałem dowodowym”, który Bolecki poddaje tak szczegółowej analizie.

Bolecki ma wiele racji, twierdząc, że każda nowa fala nagonki spowodowana była kolejną publikacją Mackiewicza. (Nb, o praźródłach „sprawy” znakomicie pisze Wacław Lewandowski we Wstępie do Wileńskiej powieści kryminalnej (3), gdzie wskazuje na związki pomiędzy samozwańczą „elitą wileńską” skupioną wokół Kuriera Wileńskiego i Erwuzy, Hulewicza i Lorentza z pułkownicową Pełczyńską, a późniejszą wieloletnią nagonką na Józefa Mackiewicza.) W jednym wszakże wypadku, chyba się myli, bo nie jest możliwe, aby impulsem do wzmożenia kampanii mogło być „upublicznienie maszynopisu książki Prawda w oczy nie kole”. Nagonka wzmogła się na przełomie 1942 i 1943 roku, kiedy ukazał się artykuł O trzech panach z „Gońca” w podziemnej Niepodległości i rzekomo zapadł wyrok, ale w Prawdzie znajdujemy cytaty z prasy z 1943 roku (jeden z berlińskiego Signal z 2 listopada 1943 roku!). Są one wprowadzone w przypisach, i sprawiają wrażenie, jakby były dopisane później, ale jest mało prawdopodobne, żeby maszynopis, który został ostatnio odnaleziony, różnił się aż tak zasadniczo od tego, który Mackiewicz rozpowszechniał w Wilnie (wiemy od niego samego, że istniały tylko dwa egzemplarze), zatem chyba lepiej przyjąć, że Prawda nie była znana w Wilnie przed końcem 43 roku, a tym samym nie mogła być impulsem do oskarżeń. (4)

## **Giedroyc i inni**

Z mojego punktu widzenia, największym odkryciem Ptasznika jest zakulisowa rola odegrana przez Jerzego Giedroycia w rozdmuchaniu na nowo nagonki na Mackiewicza w połowie lat pięćdziesiątych. Bolecki odkrył w Archiwum Kultury, że w 1953 roku Giedroyc poprosił Korbońskiego o naświetlenie wypadków kolaboracji: „Czy nie można byłoby uzupełnić Pana wspomnień sprawą Józefa Mackiewicza (...)?” Kiedy Mackiewicz przeczytał Polskie Państwo Podziemne, Korbońskiego, wydane przez Instytut Literacki w 1954 roku, to napisał do Giedroycia sążnisty list o swym „nieopisanym zdumieniu”. Jakież byłoby jego zdziwienie, gdyby znał pomysłodawcę nowej na siebie nagonki? Nie można tylko dziwić się Korbońskiemu, kiedy na list od Giedroycia (przerażonego zdaje się tym, co rozpętał) odparł z chłodną wyższością: „Co się tyczy sprawy Józefa Mackiewicza, to najpierw chciałbym przypomnieć, że rozdział o kolaboracjonizmie i o Józefie Mackiewiczu napisałem, zachęcony do tego listem Pana z 8 września 1953 r.” O ile od

Korbońskiego nie należało oczekiwać niczego innego, jak ochoczego uczestnictwa w nagonce, to rola Giedroycia – którego dzisiejsza wersja polrealizmu wyniosła do roli świętego w polskim panteonie – dech zapiera, najpierw swym makiawelizmem (być może wyolbrzymiam, może chodzi tylko o to, że kontrowersja sprzedaje książki, zatem Pan Redaktor pragnął rozdmuchać sprawę bez oglądania się na krzywdę wyrządzoną Mackiewiczowi), a potem hipokryzją (Giedroyc do Korbońskiego: „O zarzutach o jego kolaboracji słyszałem tylko ogólnikowo. Nigdy mnie to specjalnie nie interesowało.”) Trzeba rasowej „kultury”, by z taką dezynwolturą potraktować wybitnego pisarza, który wiele dodał blasku i poczytności piśmie Giedroycia. I wszystko po to tylko, by móc sprzedać parę egzemplarzy więcej? Giedroyc cynicznie przyczynił się do kolejnej niszczącej nagonki, o której przyczynach Pan Redaktor „słyszał tylko ogólnikowo”. Zaiste, nie ma to jak Kultura...

Jerzy Giedroyc zażartował kiedyś, że przed wojną wydawał pismo Polityka, które zajmowało się kulturą, a po wojnie Kulturę, skoncentrowaną na polityce. To niestety prawda. Ewolucję Giedroycia można by określić tak: od polityki rozumiejącej swe powinności wobec kultury, do „kultury” uwikłanej w rozgrywki „polityczne”. Z jego dawnej pozycji – absolutnego stosunku do kultury, który dzielił choćby z Adolfem Bocheńskim – pozostał „instykt redaktorski”, dzięki któremu stworzył świetne pismo. Natomiast jego inklinacje polityczne doprowadziły go do krawędzi, poza którą kończy się polityka, a zaczyna poputnichestwo. Giedroyc tej krawędzi chyba nigdy nie przekroczył – tylko dlatego warto o nim jeszcze pisać – ale zdaje się, zabrakło w jego otoczeniu kogoś w rodzaju Bocheńskiego; kogoś, kto odwiódłby go od skrajów przepaści. Bocheńskiemu, jego niewątpliwym zmysł polityczny, nie przesłaniał tego co istotne – aksjologicznego rdzenia kultury. Rozważając polityczne rozgrywki, nieuniknione w polityce kompromisy, nie tracił z oczu ich celu. Giedroyciowi sama gra – jak widać nie tylko z zakulisowych machinacji wobec Józefa Mackiewicza – przesłaniać zaczęła cel.

Bolecki cytuje także wymianę listów pomiędzy Korbońskim a Nowakiem (szefem Wolnej Europy), która jest niezamierzenie komiczna. Korboński ma wysokie mniemanie na temat własnej wielkości: „Przy zwalczaniu Mackiewicza nie zostało wyzyskane to, co napisałem...” i dalej: „Książka ta [W imieniu Rzeczypospolitej] ma charakter dokumentarny i powinna być cytowana przy każdej okazji.” Sugeruje następnie, że tak ważna osobistość jak on sam, powinna „odgrywać w całej sprawie rolę autorytetu.” Trudno dokładnie powiedzieć dlaczego, ale Nowak w odpowiedzi poczuł się obrażony! Ten jakiś Mackiewicz występuje przeciw granicy na Odrze i Nysie, a tu nikt nie chce jemu, Nowakowi, pomóc? Nowak, jak przystało komsomolcowi, zajmuje stanowisko pryncypialne i skromne: „wyeliminowanie Mackiewicza z niepodległościowej publicystyki politycznej uważam za rzecz ważniejszą aniżeli moje spotkanie z p. Sakowskim i z Giedroyciem.” No, nie ma to jak hierarchia ważności. I jak tu się dziwić, że prl został zastąpiony przez dzisiejszy prl nr 2 i zaakceptowany z radością jako „państwo całego narodu”, zgodnie z uchwałami XXII zjazdu centralnego komitetu partii sowieckiej, skoro szef Radia Wolna Europa i

akowski aparatczyk zachowywali się w ten sposób jeszcze w sześćdziesiątych latach?

## **Arkana mackiewiczologii**

Muszę na koniec, wyrazić żal pod adresem wydawców. Nowe wydanie Ptasznika jest rzekomo „uzupełnione, poprawione i rozszerzone”. Niestety wypada zakwestionować to określenie, ponieważ nikt chyba tej książki nie „poprawiał”. Jestem zdumiony, że ogromna praca włożona w przygotowanie Ptasznika, potraktowana została z taką pogardą; nie wolno wydawać tak ważnej książki – zresztą nieważnych książek nie należy wydawać w ogóle – w tak niechlujny sposób. Ptasznik z Wilna jest pełen błędów, niekonsekwencji, zwykłych pomyłek i skandalicznych niedopatrzeń. Ten sam sążnisty cytat powtórzony na sąsiednich stronach in extenso; adresy bibliograficzne, które prowadzą donikąd; te same artykuły cytowane z różnymi adresami (na jednej stronie widnieją obok siebie dwa przypisy, w których ten sam artykuł przywołany jest z dwoma różnymi adresami bibliograficznymi); niekonsekwencje w opisie bibliograficznym itd. Ilość literówek jest wprost szokująca (zdaje mi się, że błąd jest nawet w adresie poczty elektronicznej działu handlowego Wydawnictwa Arcana – co być może jest w tej sytuacji błogosławieństwem). Trzeba mieć odrobinę szacunku dla autora, dla innych (cytowanych) autorów oraz dla czytelnika, i dokonać choćby rudymen tarnej korekty tekstu przed jego wydaniem.

Włodzimierz Bolecki zgromadził ogromny materiał i nic dziwnego, że w jego opracowaniu znalazły się usterki – każdy może popełnić błąd – ale na tym między innymi polega rola wydawcy, że poddaje on surowy materiał delikatnej adiustacji. Bolecki twierdzi na przykład, że opowiadanie Ślizgawka dzieje się w Petersburgu. Nietrudno o taką pomyłkę, ale też wystarczyłoby, żeby inteligentny redaktor spojrział na opowiadanie Mackiewicza, a już na pierwszej stronie zauważyłby, że autor mówi *expressis verbis* o Wilnie.

Efekt tego bałaganu jest taki, że pomimo wielkiego w zamierzeniu zakresu tej pracy, drugie wydanie Ptasznika niestety nie może być uznane za osiągnięcie i nie może być używane jako poważne źródło, ponieważ nie zaspokaja podstawowych kryteriów ścisłości.

To wielka szkoda, bo Ptasznik jest interesującą pozycją, choć obok niechlujstwa wydawców jest w niej jeszcze Część Piąta, myląco zatytułowana Od caryzmu do komunizmu; w tej i następnych częściach, Bolecki omawia poglądy Mackiewicza – i z tą partią jego pracy po prostu nie mogę się zgodzić. Ale o tym inną razą, bo forma recenzji nie pozwala na tego rodzaju polemikę.

## **Odsyłacze:**

1. Arcana, Kraków 2007

2. Kontra, Londyn 2002

3. Kontra, Londyn 1995

4. Na usprawiedliwienie Boleckiego można dodać, że Mackiewicz pisał na temat Prawdy: „Książkę tę skończyłem w roku 1942.” Wydaje mi się jednak, że treść przypisów wyklucza możliwość rozpowszechnienia tego tekstu przed końcem 43 roku.